

**BOLESŁAW
PRUS**

POJEDNANI

Bolesław Prus

Pojednani

«Public Domain»

Prus B.

Pojednani / B. Prus — «Public Domain»,

W ciasnym mieszkanku w Warszawie mieszka czterech studentów: Kwieciński, Leśkiewicz, Gromadzki i Łukaszewski. Gromadzkiemu wiedzie się najgorzej — często nie ma czego do ust włożyć i musi chodzić w zniszczonych, ciągle łatanych ubraniach. Gdy na kolejny rok akademicki do mieszkania wraca Łukaszewski, okazuje się, że nie jest sam — przywozi ze sobą małego Walka, chłopca, któremu chciałby pomóc w zdobywaniu wykształcenia. Studenci postanawiają pomóc Walkowi — tylko Gromadzki, obecnie bez grosza przy duszy, nie jest w stanie nic zaoferować... Nowela Pojednani autorstwa Bolesława Prusa pokazuje życie młodych ludzi, pochodzących niekiedy z ubogich wiejskich rodzin. Przeprowadzka do dużych miast jest dla nich ogromną szansą na zdobycie wykształcenia i polepszenie bytu, ale wiedzie do tego trudna droga przez codzienne przeciwności. Prus zwraca uwagę na dysonans pomiędzy tymi, którzy mają pieniądze na edukację, a tymi, którzy muszą harować, by móc zarobić na jedzenie. Utwór Bolesława Prusa został po raz pierwszy opublikowany w „Tygodniu Ilustrowanym” w 1892 roku.

Содержание

I	5
II	6
III	8
Конец ознакомительного фрагмента.	11

Bolesław Prus

Pojednani

I

Jest w Warszawie mnóstwo ludzi, których można by nazwać „mijającymi” i sporo mieszkań, które zasługują na tytuł „przechodnich”.

Człowiek „mijający” jest to jeden z tych setek, które nas co dzień wymijają na ulicach. Odnacza się tym, że można go spotykać wszędzie, że zawsze jest do wszystkich innych podobny, lecz że niepodobna¹ jest określić jego samego. W ogrodzie mijasz go na każdej alei i przy każdej bramie; w restauracji miją cię między nakrytymi stołami albo przy bufecie; w teatrze usuwasz mu się w przysionku, albo on tobie obok krzesel.

Człowiek taki, mężczyzna lub kobieta, zawsze wygląda na lata średnie, ma cerę ani bardzo zdrową, ani chorowitą, odzież ani zbyt wykwintną, ani ubogą – przyzwoitą; wzrost niezbyt wysoki i nie niski, fizjonomię² ani zbyt inteligentną, ani idiotyczną, która jeżeli wyraża coś, to chyba roztargnienie.

Życie jego jest niewyraźne; nic o nim nie wiesz. Nie wiesz – jak się nazywa, nie wiesz – co robi, nie wiesz – z czego się utrzymuje. I nie tylko nic o nim nie wiesz, ale nawet nic nie chcesz o nim wiedzieć. Może zdziwiłbyś się, gdyby ci powiedziano, że taki człowiek rodzi się; lecz ani by ci nie przyszło do głowy martwić się, usłyszawszy, że któryś z nich umarł. Są oni od tego, ażeby robić ruch w mieście, jak krople wody są od tego, ażeby robić ruch w rzece; wychodzą, Bóg wie skąd, płyną chodnikami spokojnie, mijają cię obojętnie i nie wiadomo gdzie znikają.

Jak są ludzie „mijający” nas, tak bywają mieszkania „przechodnie”, które cechują się tym, że można je obejrzeć od razu, z sieni albo z podwórza. Jest to zazwyczaj długa izba w oficynie³, mająca trzy lub cztery okna, którą za pomocą kilku tynkowanych przepierzeń dzieli się na dwa albo trzy pokoiki, tudzież kuchenkę z przedpokojem.

Są to mieszkania suche, widne i ciasne; kuchenka biała, jeden pokój bladożółtawy, drugi bladoniebieskawy, trzeci, jeżeli jest, perłowy. Podłogi myje się raz na kwartał, ściany odświeża się raz na trzy lata. W pewnych godzinach zagląda tam słońce, w innych ukazuje się woda w wodociągu; na zimę zakładają się podwójne okna. Przez podłogę słychać rozmowy, prowadzone na niższym piętrze, przez sufit kroki lokatora z wyższego piętra, a przez ścianę zegar, który wybija godzinę w sąsiedniej kamienicy.

W takich mieszkaniach nikt się nie rodzi, nikt się nie wychowuje, nikt nie umiera, bo nikt nie osiedla się tu na stałe. Każdy wprowadza się na krótki termin, płaci miesięcznie, pozwala mnożyć się karaluchom; a gdy pociemnieją ściany od pyłu, i z każdego kąta na środek pokoju zaczyna się wysuwać śmiecie, człowiek bez żalu wprowadza się na nowy lokal, gdzie ściany są świeżo pomalowane i umyta podłoga. I znajduje takie same warunki bytu: takie same widne i ciasne pokoiki, w tych samych miejscach gwoździe, z tą chyba różnicą, że na dawnym mieszkaniu słońce pokazywało się o jedenastej z rana, na nowym zaś o pierwszej po południu.

¹ *niepodobna* (daw.) – nieprawdopodobne, niemożliwe. [przypis edytorski]

² *fizjonomia* – twarz. [przypis edytorski]

³ *oficyna* – boczne skrzydło kamienicy. [przypis edytorski]

II

Jedno z podobnych mieszkań, niedaleko ulicy Marszałkowskiej, na drugim piętrze, zajmowali przez jakiś czas czterej studenci z wyższych kursów, panowie: Kwieciński, prawnik, Leśkiewicz, przyrodnik, tudzież Gromadzki i Łukaszewski, medycy.

Pan Kwieciński był to piękny młodzieniec; wysoki, śniady, z ciemnymi oczyma, czarnym wąsikiem i bardzo starannie utrzymanymi włosami. Odznaczał się doskonałym humorem i niezwykle wrażliwością serca. Przed dwoma tygodniami wrócił ze wsi, gdzie w czasie wakacji zajmował się guwernerką i prawie zaręczył się z osiemnastoletnią siostrą swojego ucznia. Obecnie zaś wszedł w bardzo ścisłe stosunki z pewną magazynierką, co już nawet odbiło się na jego kieszeni i zarysowało się na fizjonomii⁴, nadając jej odcień powagi i znużenia.

Z powodu piękności i nazwiska, jeszcze w gimnazjum koledzy mianowali go "Kwiatkiem". Że zaś na pierwszym kursie pewna bona⁵ zrobiła mu awanturę, wołając na podwórzu: "Ja ci tego nigdy nie zapomnę!" – więc od tej pory nazywano go "Niezapominajką". Kwieciński z początku martwił się przezwiskiem: gdy jednak liczba jego zmartwień poczęła zwiększać się z każdym rokiem, więc uspokoił się, tym bardziej, że przezwisko nie robiło złego wrażenia na pannach.

Najgłębszym jego pragnieniem było: dobrze skończyć uniwersytet i zostać sławnym adwokatem. Przede wszystkim zaś – zmienić lekkomyślny tryb życia, zerwać z nieustannymi miłostkami i zostać wiernym jednej wybranej kobiecie. Zachodziła tylko kwestia: której? – gdyż miał kilka zaprzysiężonych, z których każda uważała go za swoją własność.

Jakby dopełnieniem Kwiecińskiego był Leśkiewicz, przyrodnik, także brunet, ale niski, zgarbiony, dziobaty, z brodą, która mu zarastała pół twarzy i nadawała fizjonomii wyraz ponury.

Dusza pana Leśkiewicza również nie знаła spokoju, lecz bynajmniej nie z sercowych powodów. Był on stypendystą, więc co pół roku musiał dobrze zdawać egzamin; dzięki temu przez trzy miesiące w każdym półroczu martwił się tym, że "trzeba się wziąć do roboty", a przez miesiąc rozpaczał, że już za późno – lecz egzamin zdawał.

Troska egzaminacyjna nie była najmniejszą z goryczy jego życia – czuł się bowiem ciężko chory na żołądek, serce i płuca: wątpił, czy się kiedy wyleczy, a nie spotkał dotychczas lekarza, który by... poważnie traktował jego chorobę.

– Widocznie choroba moja jest jeszcze ukryta – myślał, ciągle kręcąc się między medykami i prosząc, ażeby go opukiwali.

W tym nawet celu zbliżył się do Gromadzkiego, który przeszedł na piąty kurs i słynął jako tęga głowa. Leśkiewicz w zeszłym półroczu zamieszkał w jednym pokoju z Gromadzkim i z całym zaufaniem opowiedział mu o swych chorobach, burzliwie spędzonej młodości, nareszcie o dziedziczności, która fatalnie ciążyła nad płucami i żołądkami wszystkich Leśkiewiczów.

Czego chciał w zamian za swoją nieograniczoną szczerość?... Prawie niczego. Trochę serca i trochę wiary. Tymczasem Gromadzki, wysłuchawszy jego najgłębszych tajemnic, sam o sobie nic, ale to nic nie opowiedział mu w zamian; tylko uśmiechał się obłudnie przy opisywaniu chorób, a w końcu oświadczył publicznie, że Leśkiewicz jest zdrow jak koń, i jeszcze nazwał go „śledziennikiem”⁶, co inni przerobili na „Śledzia”.

I otóż od kilku miesięcy, z niego, Leśkiewicza, poważnego i co najmniej zasługującego na współczucie, koledzy zaczęli tak żartować, że prawie już z nikim nie rozmawiał o swoich chorobach. W dodatku zaś przezywali go „Śledziem”, co również nie było przyjemne dla młodzieńca, który zawsze serio patrzył na życie.

⁴ *fizjonomia* – twarz. [przypis edytorski]

⁵ *bona* – (daw.) domowa wychowawczyni małych dzieci. [przypis edytorski]

⁶ *śledziennik* – (daw.) hipochondryk. [przypis edytorski]

Leśkiewicz nigdy nie śpieszył się z manifestowaniem swoich uczuć, więc choć w pierwszej chwili ciężko obraził się i chętnie starłby Gromadzkiego z powierzchni ziemi, nie zmienił jednak stosunków. Owszem, do wakacji mieszkał z nim w tym samym pokoju i nawet rozmawiał o rzeczach obojętnych. Ale stracił do niego zaufanie, nazywał go „Kretem”, który wkopuje się w cudze tajemnice, ażeby je wyśmiać, a do kolegów nieraz mówił:

– Jest to jedyny człowiek, który na mnie nigdy nie powinien rachować. Przekonałem się, że jest pozbawionym uczuć egoistą, a nie zdziwię się, jeżeli kiedy zrobi jakie świństwo, nie licząc tego, co zrobił ze mną.

A choć Leśkiewicz po wakacjach sprowadził się na dawne mieszkanie (gdyż lubił dwu innych kolegów: Kwiecińskiego i Łukaszewskiego), już nie stanął w pokoju z Gromadzkim; rozmawiając zaś z nim, był posępny i uszczypliwy.

Nareszcie Gromadzki był to szczupły blondynek z rzadkim zarostem, zdolny, bajecznie pracowity, zamknięty w sobie jak ogniotrwała kasa. Nic nie wiadano o nim: ani jaką ma rodzinę, ani co zarabia, ani gdzie jada. Egzaminy składał świetnie, uczył się nocami, wieczorami dawał korepetycje; za wpis i mieszkanie płacił regularnie; niekiedy zaś ukradkiem łątał sobie obuwie i odzież, w czym miał wielką wprawę.

Posądzano go o skąpstwo albo dziwactwo; w rzeczywistości był to biedak, który okropnie wstydził się swojej biedy i krył się z nią jak z występkiem. Najśmielszym jego marzeniem było skończyć medycynę i dojść kiedy do takiego stanowiska, aby mógł co dzień jadać obiady. A gdyby jeszcze sam nie potrzebował reperować munduru i zamazywać atramentem białych szczelin na butach, uważałby się za zupełnie szczęśliwego.

Łukaszewski jeszcze nie powrócił z wakacji.

III

W połowie września, w niedzielę, około jedenastej z rana, trzech młodzi panowie znajdowali się w mieszkaniu.

W pokoju bładoniebieskim, gdzie znajdowało się jedno łóżko żelazne, drugie drewniane, żółta szafka na rzeczy i kilka półek, napełnionych książkami, przy stole, pod otwartym oknem, siedział Gromadzki. Był już od stóp do głowy ubrany, nawet mundur miał zapięty na wszystkie guziki, co trochę krępowało go w ramionach – i pisał. Raczej przepisywał drobno i kaligraficznie jakiś rękopis, źle zeszyty, niewyraźny i w dodatku mocno pokreślony.

Właściwie nie tylko pisał, ale jeszcze pił zimną herbatę, po której gęsto pływały liście, palił papierosa i kiedy niekiedy zagryzał kawałkiem chleba, który zdawał się posiadać wszystkie dietetyczne zalety oprócz świeżości.

Niekiedy Gromadzki rzucał pióro i przeciągał się, jak człowiek, któremu dokuczyło przepisywanie. Wnet jednak spoglądał na porządkowy numer stronicy, odkładał kilka kartek welinowego⁷ kajetu⁸, jakby naradzając się z nimi, otrząsał się, może dla odegnania nudów, i pisał dalej. W ogóle robił wrażenie pracownika, który nie zachwyca się swoim zajęciem, lecz chce je wykonać na czas.

Niekiedy podnosił głowę i patrzył na ścianę przeciwległej oficyny. Wówczas zdawało mu się, że między oknami czyta jakiś bardzo długi spis tanich i gorących potraw i zastanawia się: które z nich są najtańsze, najobfitsze i najgorętsze? A potem uśmiechał się na myśl, że dzisiaj właśnie, gdy skończy przepisywać arkusz dwudziesty piąty, zaprowadzi się w nagrodę do Wróbla, wybierze kilka tanich, tłustych i gorących potraw, zje przy tym mnóstwo chleba darmo i wypije kufel piwa.

W końcu nawet sformułował aforyzm: „Kto wczoraj nie jadł gorącego, a dziś zarobił półtora rubla, ten ma prawo wydać na siebie pół rubla”. Aforyzm podobał mu się, chociaż na myśl wydania pół rubla przebiegły go lekkie dreszcze.

– A jednak puszczać się... – mruknął.

Nagle ocknął się i przez otwarte drzwi wychylił głowę do pierwszego pokoju, jakby lękając się, ażeby jego rozpustnych projektów nie podsłuchali koledzy.

Lecz koledzy nie zajmowali się nim. Kwieciński zupełnie ubrany, tylko bez mankietów i munduru, leżał na łóżku, z rękami pod głową, usiłując to prawą, to lewą nogą dosięgnąć szafy, oddalonej o łokieć. Leśkiewicz zaś, ubrany w krawat i starą marynarkę (dolna część jego istoty znajdowała się jeszcze w płóciennym negliżu), siedział na amarantowym foteliku, którego przeszłość zdawała się być nader burzliwą. Leśkiewicz w prawej ręce trzymał fajkę, lewą od niechcenia opierał na dużym stole, na którym stygnął samowar, walały się okruchy bułek i dwie skórki serdelków.

– No i co ty wyrabiasz ze swoimi nogami? – odezwał się Leśkiewicz, patrząc z politowaniem pełnym goryczy na gimnastyczne zabiegi Kwiecińskiego.

– Stawiam kabałę⁹: iść, czy nie iść do Tekluni. – odparł Kwieciński.

– Jeżeli powiedziałeś sobie, że nie pójdiesz, to nie idź.

– W takim razie ona może przyjść...

– Masz diable kaftan! – odezwał się w drugim pokoju Gromadzki, na którym, pomimo skromności, czy może z powodu jego skromności, imiona żeńskie robiły silne wrażenie.

– A ty, Śledziu, dlaczego się nie ubierasz? – wtrącił Kwieciński, chmurnie spoglądając na negliż Leśkiewicza. – Pominąwszy, że może kto wejść do nas...

– Teklunia – zachichotał Gromadzki.

⁷ welin – odmiana cienkiego, luksusowego papieru. [przypis edytorski]

⁸ kajet (daw., z fr.) – zeszyt. [przypis edytorski]

⁹ kabała – tu: wróżba. [przypis edytorski]

- Ale nawet nieładnie tak pokazywać się sąsiadom z przeciwka – dokończył Kwieciński.
- Wiesz przecie, że mam robotę – odparł Leśkiewicz. – A jeżeli ubiorę się, z pewnością wylazę na miasto... Znam siebie.
- Więc rób.
- Tak rób... Ale po co?... Kto mi zaręczy, że nie umrę po ostatnim egzaminie?...
- I potarł sobie palcem usta, ażeby sprawdzić, czy nie ma gorączki.
- No, zaraz po egzaminie...
- Więc w kilka lat później. A wtedy co mi przyjdzie z tego, że będę umiał trochę więcej, aniżeli na stopień kandydata? – mówił, krzywiąc się, Leśkiewicz. – Bakterie ani nasycą się moją uczonością, ani otrują.
- Ale nauka... Postęp... – wtrącił Kwieciński.
- Postęp!... cha!... cha!... – zaśmiał się Leśkiewicz. – Właśnie teraz myślałem, że kto wie, czy Europa nie dosięga kresu swoich postępów, i czy już nasze wnuki nie zapadną w chińską rutynę, która przeżuwa i zapomina stare rzeczy, nie tworząc nic nowego.
- Odetchnął jak człowiek próbujący, czy jeszcze może oddychać, i wziął się za lewy bok.
- Otrułeś się serdelkiem, Śledziu, i barłożysz¹⁰...
- Nie barłożę!... – oburzył się Leśkiewicz. – To są moje najgłębsze myśli, którymi tylko nie mam zwyczaju dzielić się. Jak roztopiona lawa krzepnie w skałę, jak organiczne tkanki wapnieją, tak wapnieją całe społeczeństwa... Zamiera w nich ciekawość, popęd do rzeczy nowych i stają się podobne do mrowisk, albo do rojów pszczelnych, gdzie od tysięcy lat wszystko robi się bardzo porządnie, bardzo systematycznie, ale rutynicznie i nieświadomie.
- Skąd u diabła, przychodzą ci takie głupie myśli? – krzyknął, zrywając się z łóżka, Kwieciński.
- Bo widzę kresy cywilizacji tam, gdzie ty ich nie dostrzegasz – odparł podniecony Leśkiewicz.
- Spójrzj choćby na drobiazgi; na stół, na krzesło... Czy myślisz, że za pięćset lat będzie coś lepszego w miejsce stołów i krzeseł?... Może sądzisz, że ta bułka będzie inna?... A może wyobrażasz sobie, że ludzie zaczną budować inny typ domów, i zamiast dzisiejszych podziurawionych pudeł, zaczną wznosić budynki, podobne do kryształów, albo do skał fantastycznych?...
- I to mówi przyrodnik!... – wołał zaczerwieniony Kwieciński.
- Właśnie przyrodnik, który wie, że już nie odkryje się stu tysięcy nowych gatunków roślin i zwierząt, nie wynajdzie się kilkudziesięciu nowych pierwiastków, ani kilku nowych sił, takich, jak ciężkość, ciepło, elektryczność... Już dochodzimy do kresu... – zakończył śpiewnym tonem, niby od niechcenia ugniatając sobie żołądek.
- To może wy, ale nie my – przerwał Kwieciński. – Patrz-że tylko, ile milionów ludzi zyskało od stu lat wolność osobistą, dobrobyt i oświatę... Zobacz, jak dziś traktują jeńców, rannych, a nawet przestępców... Pomyśl, do czego może dojść prawo międzynarodowe... Zrachuj, ilu ludzi z najniższych sfer przenosi się na wysokie stanowiska...
- Zapytaj się Gromadzkiego, kto był zdrowszy: jego ojciec w szkole elementarnej, czy on w uniwersytecie? – a zobaczysz, co to jest nasz postęp... – odparł z ironią Leśkiewicz i zaczął sobie rachować puls.
- Gromadzki zerwał się od stolika i stanął we drzwiach.
- Naturalnie, że jest postęp!... – zawołał. – Mój ojciec był tkaczem, wuj felczerem¹¹, a ja już będę lekarzem...
- Za to mój pradziad miał dziesięć wsi i dwa miasta, a ja nie mam dziesięciu koszul. To mi dopiero ulepszenie, gdzie, ażeby jakiś tam Gromadzki trochę zyskał, Leśkiewicz musi stracić wszystko...

¹⁰ *barłóżyć* (daw.) – bredzić, opowiadać głupoty. [przypis edytorski]

¹¹ *felczer* – osoba wykonująca proste zabiegi medyczne. [przypis edytorski]

– To właśnie dobrze, że rodziny niezużyte wysuwają się naprzód, a upadają familie dziwaków i hypochondryków – odburknął Gromadzki, wracając do przepisywania.

Leśkiewicz poruszył się na ponsowym foteliku i ze złości ugryzł piórko u cybucha. Ażeby nie dopuścić go do odpowiedzi Gromadzkiemu, Kwieciński wtrącił:

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.